

Nie oglądam się za siebie



Fot. AKUB PAJEWSKI

Nagroda na Festiwalu Filmowym w San Sebastian, Srebrna Muszla — dla pani za rolę w „Zwolnionych z życia” Waldemara Krzystka i dla filmu — podobno była niespodziewanym sukcesem?

Tak, wiadomość o niej była dla mnie prawdziwym zaskoczeniem. Na festiwal nie mogłam obejrzeć go dopiero na premierze w październiku. Srebrną Muszlę przywiózł mi reżyser.

Film jest współczesny, opowiada o porachunkach bylej opozycji z policją. Ja gram schizofreniczkę, która opiekuje się bohaterem przypadkowo zaplątanym w całą historię. Rola Krzystek napisał specjalnie dla mnie. Zapytał mnie kiedyś, co chciałabym zagrać, odpowiedziałam żartem „chorą umysłowo”. Rok później przywiózł mi gotowy scenariusz i powiedział: „Napisałem to dla ciebie, myślę, że będziesz zadowolona”. Bardzo precyzyjnie do tej roli się przygotowywałam, czytając fachową literaturę i zasięgając opinii konsultanta. Moja rola to wątek uboczny.

Równocześnie wydarzeniem jest pani rola w Teatrze Studio w „Śmierci i dziewczynie” Ariela Dorfmana. Realizacja trwała miesiąc. Błyskawicznie przystała pani na tę propozycję?

Wiedziałam, jakiej wagi jest to tekst. Od dawna we współczesnej literaturze teatralnej nie było tak aktualnej sztuki. Bardzo dobrze skonstruowanej, prawie jak grecka tragedia, z bardzo dobrymi rolami. Od dawna nie miałam roli, w której mogłabym uderzyć w taki ton.

Sztuka chilijskiego autora zachowuje polityczną aktualność także wobec naszych rozliczeń

z przeszłością.

Sztuka jest o wielu różnych rzeczach, nie tylko o rozliczeniach i bywała rozmaicie odbierana na świecie. W Chile rzeczywiście stricte politycznie, ale już w Nowym Jorku jako historia o związkach międzyludzkich i miłości: o związku małżeńskim i związku erotycznym z prześladowcą.

W Polsce porusza najbardziej w warstwie politycznej, w kontekście dyskusji lustracyjnej, dlatego pytam, jakie jest pani zdanie na temat rozliczeń z przeszłością?

Bardzo nie chciałabym żyć w takim kraju, w którym rację ma Paulina. Cały czas bałam się, że rację będą tylko po jej stronie, że nie znajdą opozycji w innej postawie — człowieka, który spokojnie i silnie dowiedzie, że nie można się w ten sposób zachowywać.

Żyjemy jednak w kraju, w którym rację Pauliny, pragnącej zemsty, brzmią sugestyjnie.

Po prostu aktorka zwyciężyła. Mam zagrać kobietę, która została skrzywdzona, więc w jakiś sposób gram o chęci rozliczenia się z krzywdą. Ale jeśli spojrzeć chłodno, to rację w tekście sztuki rozłożone są inaczej. Bardzo pięknie i mądrze. I do końca właściwie nie wiadomo, czy człowiek, którego bohaterka bierze za prześladowcę, to na pewno ten człowiek.

Pani rola w sztuce Dorfmana wydaje się kontynuacją „Przesłuchania”.

Jeśli chodzi o środki wyrazu czy sposób myślenia, jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Może tylko „Przesłuchanie” daje mi lepszy start do tej roli.

Rozumiem, że nie jest pani obojętna, co pani gra.

Całym swoim życiem zawodowym zaświadczyłam, że nie

jest mi obojętne, co gram i nie jest mi wszystko jedno, jakie słowa wypowiadam z ekranu, dlatego je wypowiadam i w jaki sposób.

Stała się pani dzięki rolom filmowym — od „Człowieka z marmuru” do „Przesłuchania” — symbolem narodowym i pokoleniowym. Wielokrotnie powtarzała pani, że odczuwa przesył tego typu rolami. Czy to znaczy, że już dość publicystyki politycznej w sztuce?

Czasy się zmieniły i nie ma już takich filmów. Od dawna nikt mi nie przyniósł takiego scenariusza, od którego dostałabym gorączki. Ale gdyby się pojawił i był naprawdę dobrze napisany, nie zastanawiałabym się, czy zagrać. Nikt jednak od dawna tego ode mnie nie żąda. Poza tym myślę, że publiczność nie bardzo chce takie filmy oglądać. W Powszechnym gram teraz obyczajową literaturę amerykańską z lat 50. i 60. i są pełne sale. Weszliśmy w takie czasy, że musimy myśleć, jak utrzymać za wszelką cenę teatr i nasz zespół.

Nie jest to najgorza literatura.

Oczywiście, że nie, bardzo miło grać tę literaturę i wcale się temu nie przeciwstawiam. Jest zresztą taki moment, że teatr jest mi potrzebny, a mam nadzieję, że ja mojemu teatrowi też. W teatrze realizuję swoją edukację aktorską. Bardziej mogę wpływać na to, co będę grała, zastanawiać się, co sprawiłoby przyjemność publiczności i mnie rozwinęło. Mogę szczegółowo powiedzieć, dlaczego wybieram jakąś rolę. Kotkę wybrałam, bo uważałam, że nie umiem zagrać takiej kobiety, jak Margaret. I miałam rację. Musiałam użyć pewnego tricku, sposobu, żeby się z nią „zgodzić”. Ale to jest moja prywatna porażka. Nawet nie udało mi się zbliżyć do wyobrażeń, jakie mam o Margaret. Co z tego, że teatr jest pełny. Oczywiście poniżej pewnego poziomu nie schodzimy, bo jakby nie wypada. Ale ja wiem, gdzie ustawiam poprzeczkę, jakie w stosunku do siebie mam wymagania. To powinno być inaczej opowiedziane, inna kobieta powinna chodzić po scenie.

W „Dwoje na huśtawce” zagrałam, ponieważ Andrzej Wajda został dyrektorem; teatr miał przejściowe problemy z publicznością i trzeba było zrobić pozycję, która by ją przyciągnęła. Sztuka jest bardzo lubiana, gramy ją już czwarty rok. Właściwie dopiero teraz jestem z siebie w tej roli zadowolona, rozumiałam Gizelę, publiczność nauczyła mnie, jak ją grać.

Co pociąga panią w aktorstwie?

Po prostu uwielbiam grać, kocham grać. Mówią, że są aktorzy, którym drżą nogi ze strachu, kiedy mają wyjść na scenę, ja się śmieję, że mi drżą z rozkoszy. I jeżeli się mnie angażuje, to

gram, co nie znaczy, że się sobą zachwyam. Czytam tylko recenzje negatywne i jeśli są uzasadnione, biorę pod uwagę. Jeśli nie, idę dalej i nie oglądam się.

Jeżeli teatr i film mają wchodzić w dialog ze swoim czasem, to jakie problemy wydają się pani istotne?

Właściwie nie wiem, co dziś jest istotne. Ostatnio mam np. takie problemy: czy oddać dziecko do przedszkola do sióstr, które jest najbliższe, czy do świeckiego? Poza tym wiem na pewno, że sprawia mi ludziom radość w teatrze, grając Shirley Valentine. Są to dwie godziny, kiedy mogą śmiać się i zapomnieć o wszystkim. To jeden z najcudowniejszych tekstów, jakie czytałam i grając sprawiam też sobie przyjemność, to taki deser.

„Shirley Valentine” jest historią zwykłej kobiety, sztuką o codzienności. Czy marzenia zwykłych ludzi to właśnie tematy, które w tej chwili obchodzą widzów najbardziej? Czy tego oczekuje się po filmie?

Nie wiem, tak jak wielu reżyserów nie wie, co robić. Po prostu u nas reżyserzy, robiąc przez tyle lat kino społeczne, zapomnieli o tym, że są inne gatunki, jak film obyczajowy, horror, thriller psychologiczny, nie mówiąc już o komedii. I nie umieją pisać takich scenariuszy. Wiedzą, że muszą zmierzać w tym kierunku, ale nikt tego nie umie, chociaż pojawiają się próby. Wszyscy przez tyle lat „szli z bagnem na cara”, a teraz muszą nauczyć się, że są inne problemy i nauczyć się je formułować. Myślę, że ludzie po prostu chcą oglądać dobrze zrobione i grane filmy. Na tym to mniej więcej polega. Ja marzę o tym, żeby zagrać w horrorze, marzę. Tyle że nie dostałam takiego scenariusza do ręki.

Miała pani okazję grać w innych gatunkach, zwłaszcza na Zachodzie.

Najbardziej interesującą przygodę miałam w Niemczech przy kręceniu „Laputy”, kiedy cały film improwizowaliśmy po francusku z Sami Freyem, za co otrzymaliśmy w Montrealu nagrody aktorskie. Reżyser włączył dwie kamery i mogliśmy przez 15 dni swobodnie improwizować. Podobny eksperyment przeżyłam w filmie „Stan posiadania” Krzysztofa Zanussiiego. Bardzo też lubię niemiecki film „Bella Donna”, francuski „Zawrót głowy” („Vertige”), w którym zagrałam śpiewaczkę operową. To bardzo piękny film o wrażliwości i delikatności artysty, o tym, że najdrobniejsza rzecz może spowodować utratę głosu czy psychiczne załamanie i z wielkości nie pozostaje nic. Myślę, że wyszła z tego niezła rola.

Czy trudno zdobyć i utrzymać pozycję na Zachodzie?

Nigdy nie próbowałam. Zawsze byłam gościem zaproszonym, honorowanym, ale nigdy nie stanowiłam zagrożenia dla kolegów, bo zaraz po zdjęciach wyjeżdżałam. Przyjeżdżałam, robiłam zdjęcia i o świcie rano wracałam do Polski, a wieczorem szłam do teatru. Nigdy naprawdę nie przerwałam pobytu tutaj. O żadną z ról na Zachodzie nie zabiegałam. Co więcej, wszyscy reżyserzy, którzy mnie sprowadzali, mieli problemy z wyciągnięciem mnie stąd, bo było to w ciężkich czasach, kiedy polska cenzura cenzurowała również ich scenariusze. I z tego powodu nie zagrałam w kilku filmach. Zawsze uważałam, że ludzie, którzy mnie stąd wyciągają, są wariatami.

Nie korzysta pani z agencji reklamowej?

Mam swoją agentkę we Francji, ale to niewiele znaczy. Moja agentka twierdzi, że powinnam pół roku przebywać we Francji, chodzić na jakieś przyjęcia, otwarcia. Ja jestem akurat osobą, która nienawidzi festiwalu, rozdań nagród itd... Dostaję oczywiście zaproszenia, ale prawie nigdy z nich nie korzystam. Po prostu bardzo tego nie lubię, źle się tam czuję i nie widzę powodu, żeby tam siedzieć i „tracić czas”. Być może otworzyłoby to jakieś nieprawdopodobne perspektywy przedemną, ale zdecydowałam inaczej i tak jest mi lepiej żyć.

Na ile dla pani liczy się tzw. kariera?

Wie pani, kiedy dostałam Złotą Palmę, zaszłam w ciążę i nie znam osoby ze środowiska, która nie powiedziałaby mi, że jestem nienormalna. Wiele osób mówiło mi, że jestem po prostu idiotką. A ja bez drgnienia serca, proszę mi wierzyć, spokojnie wyjechałam na wieś. Praktycznie były to trzy lata bez możliwości wyjścia przed kamerę, bo urodziłam w tym czasie dwoje dzieci. Myślę, że nie za wszelką cenę robię karierę.

Ale to, co robi pani w życiu zawodowym, uważa pani za ważne.

Co wieczór wydobywa się ze mnie tyle emocji, no to chyba musi być ważne. Inaczej wszystko byłoby bez sensu. Już jestem taką osobą, która wszystko, co robi, robi najlepiej, jak umie. Proszę zrozumieć, nie mam wielkich ambicji, tylko staram się wszystko wykonać dobrze. Nie kiwam palcem, żeby sobie pomóc z jakiejś innej strony.

To wszystko przychodzi samo?

Nie, to ciężka praca. Podobnie pracuję, żeby moje małżeństwo było dobre. Nie oczekuję, że coś samo spadnie z nieba. Za każdym razem staram się tylko pracować i wykonywać najlepiej to, co przynosi mi życie. I nic więcej.